

Pierre Alexis
de Ponson
du Terrail

Rocambole

**TESTAMENT
ZIARNKA SOLI**

część pierwsza

**Tom
13**



Ruda Śląska 2022

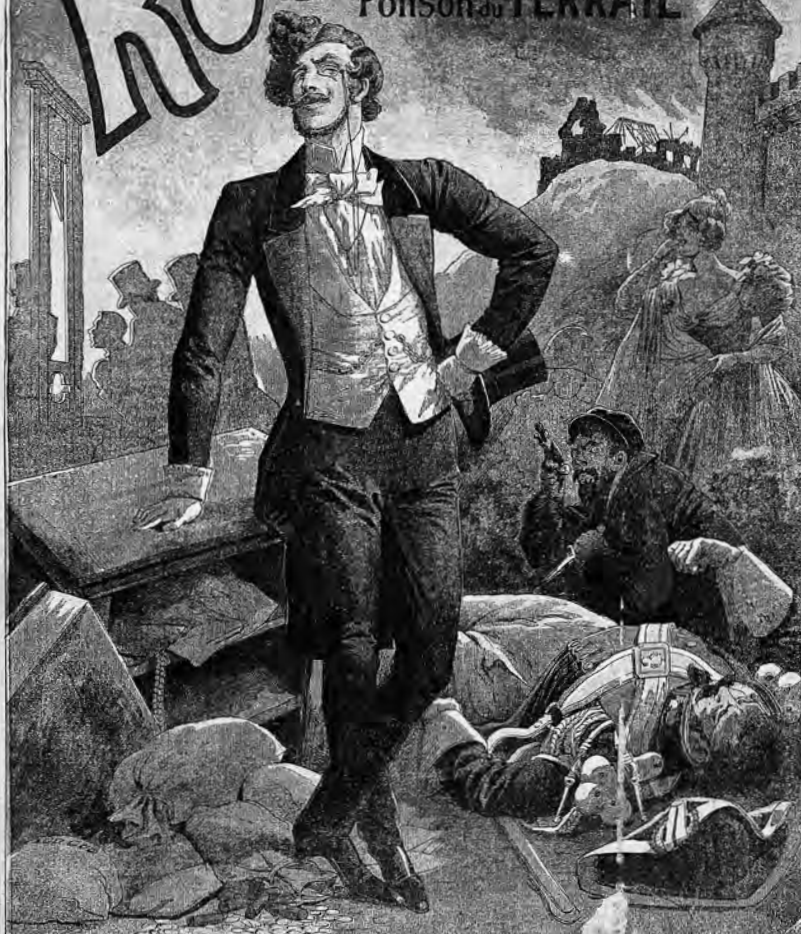
ISBN 978-83-66268-19-7 (kolekcja)

ISBN 978-83-66980-35-8 (tom 13)

LES DRAMES DE
PARIS

ROCAMBOLE

PAR
Ponson du TERRAIL



GRATUITEMENT

De Numéro doit être distribué

Roc. N° 1

Publications JULES ROUFF & C. 4, Rue de la Vrillière, PARIS (1^{re})

N° 1

Pierre Alexis de Ponson du Terrail

Rocambole



Testament Ziarnka Soli

część pierwsza



Pierre Alexis de Ponson du Terrail

Pierre Alexis
de Ponson
du Terrail

Rocambole

Testament Ziarnka Soli

część pierwsza



Przełożył
i przypisami opatrzył
Andrzej Zydorczak

Wydawnictwo
JAMAKASZ
Ruda Śląska 2022

*Sto pierwsza
publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ*

*Trzynasty tom kolekcji
„Rocambole”*

Tytuł oryginału francuskiego: *Le Testament de Grain de Sel*

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak, 2022

24 ilustracje, w tym 21 kart tablicowych kolorowych: Louis-Charles Bombled, Paul Kauffmann, Désiré Quesnel (wg Wydawnictwo Jules Rouff, Paris 1894)

Redaktor kolekcji: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Janusz Pultyn

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2022

ISBN 978-83-66268-19-7 (całość kolekcji)

ISBN 978-83-66980-35-8 (tom 13)



Wydawnictwo JAMAKASZ

www.jamakaszk.pl

e-mail: jamakaszk2013@gmail.com

tel.: 32 340 21 42, 531 094 758

Ruda Śląska 2022

Rozdział I

Mieszkańcy Martinière



Podróżny przekraczający Loarę w Orleanie¹, jeśli skieruje się na południe, to niecałe dwie ligi dalej napotka piaszczysty, suchy kraj porośnięty skarłowaciałymi świerkami. To Sologne².

Sologne to kraj niezdrowy, malaryczny, monotonny, którego widok napawa skrajną melancholią i niezaprzeczną poezją.

Od czasu do czasu od strony drogi widać czerwone wieżyczki ceglanego zameczku zagubionego w środku lasu.

Czasami rano, kiedy wschodzi słońce, słyszy się odgłosy fanfar i widać przeciągającą obok zażartą sforę dużych psów z Poitou³.

Wieczorem, przez małe świerkowe gaje, lśni czerwonawy blask ogni węglarza, a w pobliżu ujada zabłąkany ogar.

Na północy leży Orlean, miasto może trochę nudne, ale przy tym najpiękniejsza kraina na świecie.

Na wschodzie jest Vierzon⁴, stolica kowali, gdzie kowadło nie śpi ani w dzień, ani w nocy.

¹ *Orlean* – miasto w północnej Francji, stolica departamentu Loiret, nad środkową Loarą, 100 km na południowy zachód od Paryża, powstało w czasach celtyckich, główny ośrodek krainy Orleanii, rozwój od XVII wieku jako ważny ośrodek handlu, obecnie ma około 115 tys. mieszkańców, ośrodek przemysłowy, uniwersytecki i turystyczny z wieloma zabytkami.

² *Sologne* – kraina geograficzna w środkowej Francji, między Loarą a rzeką Cher, o powierzchni około 5 tys. km², bagnista i piaszczysta, mało nadająca się do rolnictwa, słabo zaludniona.

³ *Psy z Poitou* – poitevin, rasa psów myśliwskich, gończych, wyhodowana w XVII we francuskiej krainie Poitou, używane do polowań na wilki; dość duże (60-70 cm wysokości), krótkowłose, o sierści trójkolorowej.

⁴ *Vierzon* – małe miasto w środkowej Francji, w departamencie Cher, nad rzeką Cher, 70 km na południe od Orleanu, powstało w X wieku obok klasztoru benedyktynów i normańskiego zamka, od końca XVIII wieku powstało tam wiele warsztatów produkujących narzędzia i maszyny rolnicze, obecnie ma około 25 tys. mieszkańców.

Na zachodzie znajduje się Chambord⁵, piękna rezydencja, pałac otoczony wielkimi lasami. Nieco dalej leży Blois⁶, cywilizowane i uprzejme miasto, które wciąż pamięta swoich znamienitych gości.

Dalej, na południe jest Berri⁷, opiewane przez George Sand⁸; Berri, kraina legend i gęstych lasów.

Pomiędzy La Motte-Beuvron⁹ a Nouan¹⁰ kraj jest w całości porośnięty drzewami. Pośrodku tych lasów, około pięć kilometrów od linii kolejowej, stoi ładny dom z ubiegłego wieku, który, jak wszystkie budowle w kraju, zbudowany jest z czerwonej cegły.

Czy to zamek?

Można by tak powiedzieć na widok dwóch sześciokątnych wieżyczek, które flankują jego fasadę od strony południowej, i gdyby policzyć setki starych drzew tworzących park o powierzchni jednej ligi kwadratowej.

Lecz w kraju tym nie mówiono wcale o zamku, zadowalając się określaniem tej rezydencji nazwą Martinière.

Martinière należała podczas rewolucji 89 roku¹¹ do dzierżawcy generalnego¹² zwanego Martin i stąd się wzięła nazwa.

⁵ *Chambord* – największy z zamków nad Loarą, 45 km na południowy zachód od Orléanu, 6 km na wschód od Loary, budowany na rozkaz króla Franciszka I w latach 1519-1547 jako zamek myśliwski, w stylu renesansowym.

⁶ *Blois* – miasto w środkowej Francji, stolica departamentu Loir-et-Cher, nad rzeką Cher, 50 km na południowy zachód od Orléanu, powstało w X wieku, główna siedziba potężnych hrabiów Blois, od XV miasto należące do królów Francji, obecnie ma około 45 tys. mieszkańców, miasto zabytkowe.

⁷ *Berri* – obecnie Berry, kraina historyczna w środkowej Francji, ze stolicą w Bourges, dawne księstwo, obejmuje departamenty Cher i Indre, między Sologne i Masywem Centralnym, wyżynna, słabo rozwinięta gospodarczo.

⁸ *George Sand* (1804-1876) – pseudonim literacki Amantine Aurore Dudevant, francuskiej pisarki, kochanki Fryderyka Chopina, autorki wielu powieści, w tym także o krainie Berry, z której pochodziła, np. *Légendes rustiques* (Legendy z Berry) z roku 1857.

⁹ *La Motte-Beuvron* – obecnie Lamotte-Beuvron, miasteczko w środkowej Francji, w departamencie Loir-et-Cher, 30 km na południe od Orléanu, w Sologne, pośród jednych z największych lasów we Francji, ma około 5 tys. mieszkańców.

¹⁰ *Nouan-le-Fuzelier* – miasteczko w środkowej Francji, w departamencie Loir-et-Cher, 7 km na południe od Lamotte-Beuvron, w Sologne, stacja na linii kolejowej z Orléanu do Bourges, ma około 2 tys. mieszkańców.

¹¹ *Rewolucja 89 roku* – wielka rewolucja francuska z roku 1789.

¹² *Dzierżawca generalny* – dawniej we Francji członek zarządu dzierżawy podatków państwowych, ściągający je w imieniu władzy.

Pan Martin zmarł na początku Cesarstwa¹³, a jego ziemię w Solgne kupił niejaki pan Bernard.

Ów Bernard był wielkim łajdakiem, który zbił majątek na handlu lnem i wełną. Pełen głupoty i próżności, na bramie swojego parku kazał umieścić sporządzony wielkimi złotymi literami napis: *Zamek Martinière*, ale w okolicy nadal mówiono po prostu: Martinière.

Mistrz Bernard, który swojego jedynego syna ożenił z wysoką, szczupłą, wychudzoną i nieprzyjemną osobą, chciał odgrywać wielkiego pana. Zakazał polowania w swoim lesie, był bezlitosny dla kłusowników i starał się nawiązać znajomości z sąsiadami.

Kłusownicy poszli do więzienia, ale sąsiedzi zamknęli mu drzwi przed nosem.

Czas władania przez niego małą posiadłością ziemską był zresztą krótki, bowiem nadeszła Restauracja. Pana Bernarda spotkały dwa bankructwa i stracił wszystko, przy owacjach sąsiedztwa, które często biadało nad groteskowym luksusem tego dawnego handlarza.

Wtedy Martinière kupił szlachcic, który właśnie wrócił z emigracji, baron de Passe-Croix, teść generała markiza de Morfontaine, gdzie mieszkał aż do śmierci i zapisał w testamencie swojemu synowi, temu samemu baronowi de Passe-Croix, który następnie został najpierw jednym z morderców hrabiego de Main-Hardye, a następnie nieszczęsnej Diane de Morfontaine.

Teraz, w roku 184..., w październiku, baron był w Martinière, przestrzegając angielskiej mody, która wymaga spędzenia części zimy na wsi.

Pan de Passe-Croix był wówczas mężczyzną w wieku około czterdziestu dwóch lat.

Jego żona, baronowa, zbliżała się do trzydziestego szóstego roku życia.

Owocem ich związku było dwoje dzieci: syn, który miał w następnym roku opuścić Saint-Cyr, i szesnastoletnia dziewczyna, piękna jak jej matka, o imieniu Flavie.

Tak zatem w październiku roku 184..., pewnego wieczora, o zmroku, mieszkańcy Martinière usłyszeli, ćwierć ligi od domostwa, głośno graną fanfarę.

¹³ Cesarstwo (Empire) – w dziejach Francji określenie okresu 1804-1814, kiedy to Napoleon Bonaparte był cesarzem Francuzów.

W owej chwili w salonie zgromadziły się trzy osoby: pan i pani de Passe-Croix oraz ich córka.

Pani de Passe-Croix, siedząca przed krosnami, od czasu do czasu przerywała pracę, aby ukradkiem spojrzeć na córkę.

Baron, zatopiony w fotelu przy kominku, czytał gazetę.

Jeśli chodzi o Flavie, siedzącą naprzeciw ojca, ona miała spuszczone oczy i wydawała się być pogrążona w głębokich rozmyśleniach.

Dźwięk myśliwskiego rogu sprawił, że te trzy osoby zadrżały.

– Och! – rzucił pan de Passe-Croix. – Czy Victor już wraca?

– To mało prawdopodobne – odpowiedziała baronowa.

– Victor wyjechał dziś rano do Rigoles¹⁴, gdzie ma przez tydzień polować – zauważyła Flavie.

– Jednakże – nie ustępował pan de Passe-Croix – nie myślę się, to dźwięk jego trąbki. Tylko on gra tak głośno w okolicy.

Pani de Passe-Croix wstała i poszła otworzyć okno, a potem się z niego wychyliła.

– Popenił pan błąd, ponieważ nic już nie słyszę – powiedziała baronowa. – To niewątpliwie panowie de Cardassol.

– To rzeczywiście możliwe – przyznał baron. – Te szlachetki są kłusownikami jak jacyś wieśniacy. Choć zabraniają polowań u siebie, nie wahają się polować na posiadłościach innych i nieustannie przechodzą przez nasze ziemie.

Ludzie, o których napomykał pan de Passe-Croix i którzy zostali wezwani do odegrania roli w naszej opowieści, zasługują na zarysowanie przez nas w kilku zdaniach ich sylwetek.

Panowie Brûlé de Cardassol byli właścicielami małych działek leśnych, drobną szlachtą o miernych dochodach, zawsze ledwo wiążący mi koniec z końcem, z trudem utrzymującymi się ze swego skromnego majątku. Byli niewiarygodni w transakcjach, przysiegający, że nic nie są winni, jeśli ktoś pożyczył im na słowo; ale z drugiej strony domagający się tego, co się im nie należało, kiedy mogli nadużywać dobrej wiary sądu.

W Sologne, gdzie przecież szlachta jest dobrze widziana, kochana i szanowana, mówi się powszechnie: „nieuczciwy jak Cardassol”.

Ci mili drobni szlachcice, w liczbie pięciu, przypisywali sobie tytuł łowczego, który łączyli z tak szlachetnymi stanowiskami, jak woźnicy,

¹⁴ Rigoles – miejsce nieznane, nie ma go na dostępnych mapach Sologne i okolic.

parobka i ogrodnika. Utrzymywali jednego konia do polowania, trzy mieszańce małych psów myśliwskich i jednego wyżła. Ponieważ ich lasy były małe, kłusowali w należących do innych ludzi. Latem swoich robotników dniówkowych i wyrobników karmili jeleniami zabijanymi przy wodopoju.

Zimą jeździli odgrywać wielkich panów do sąsiedniego miasteczka i na salony podprefektury wprowadzali żony, wielce szpetne kobiety, poślubione nie wiadomo gdzie.

Pan de Passe-Croix i Cardassol stykali się z sobą raz do roku. Pierwszego stycznia wymieniali wizyty, opowiadali sobie o małżeństwach i narodzinach dzieci.

Victor de Passe-Croix, młody kadet z Saint-Cyr i najmłodszy z Cardassolów, imieniem Octave, poznali się w szkole średniej, ale nie stali się kolegami z tego doskonałego powodu, że Victor był szczery i otwarty, a Octave de Cardassol był przebiegły, samolubny, kłamliwy i zapowiadał się na skąpca.

W gimnazjum Victor i Octave walczyli ze sobą na pięści; w szkole przygotowywawszy do studiów, gdzie znowu się spotkali, walczyli na floretty bez zabezpieczeń. Cardassol został ranny. Jak zobaczymy później, tego nie wybaczył.

Tacy byli najbliżsi sąsiedzi pana de Passe-Croix.

Baron wrócił do czytania, pani de Passe-Croix po zamknięciu okna usiadła ponownie przed krosnami. Flavie nadal marzyła.

Minęło kilka minut, a potem znowu rozbrzmiały fanfary.

– Och! Och! – rzucił baron. – Tym razem się nie mylę, to mocne dźwięki Victora.

Pani de Passe-Croix wróciła do okna, następnie przycisnęła twarz do szyby i usiłowała przeniknąć wzrokiem ciągle narastającą ciemność.

Fanfara zbliżała się i wkrótce, sto metrów od schodów, baronowa zobaczyła wyłaniającego się jeźdźcę, a za nim tuzin psów, które powiązane parami prowadził sługa.

– Ach! To rzeczywiście Victor – powiedziała.

– To dziwne – szepnęła Flavie, która mocno zbladła.

– Victor jest kłótniwy – powiedział z kolei baron – i założę się, że w Rigoles wdał się w jakąś awanturę.

– W każdym razie – odparła baronowa – nie spotkała go żadna wielka krzywda, skoro teraz powraca.

Na szczęście salon oświecał tylko odbłask ognia w kominku, bo inaczej pani de Passe-Croix zauważyłaby zmieszanie i bladeść córki.

Po chwili milczenia baronowa odezwała się znowu:

– Ale na czym opiera pan domysł, że Victor mógł być w Rigoles swarliwy?

– Państwo Montaet goszczą u siebie wielu ludzi.

– To prawda.

– A wśród gości jest kilku młodych ludzi z Paryża.

– Ach! – rzuciła obojętnie baronowa.

– Kto więc mi opowiedział o oficerze marynarki wojennej...? Daję słowo, to może być Victor! Podano mi nawet nazwisko tego oficera, ale ono mi umyka...

Kiedy baron kończył, otworzyły się drzwi i wszedł Victor. Był to wysoki i przystojny chłopiec mający dwadzieścia lat, na którym strój myśliwski i buty do jazdy konnej wyglądały jeszcze lepiej, niż mundur z Saint-Cyr.

– Ach, mój drogi – powiedział baron, wstając – z czyjego powodu tu jesteś?

– Z niczyjego. Dobry wieczór, ojcze; dobry wieczór, matko, dobry wieczór moja mała Flavie...

Młody człowiek po kolei pocałował trójkę obecną w salonie, a potem opadł na fotel.

– Uff! – powiedział. – Jestem tak zmęczony, jak tylko można być, i głodny jak cały pułk.

– Wszelako, mój piękny przyjacielu – zapytał baron – czy wyjaśnisz mi, dlaczego tak wcześniej przyjechałeś do nas z Rigoles?

– Oczywiście, ojcze.

– Wyjechałeś dziś rano?

– Zgadza się.

– I wracasz osiem godzin później.

– Tajemnica – rzucił ze śmiechem młody człowiek.

– Twój ojciec twierdzi – powiedziała baronowa – że się z kimś poróżniłeś...

– Ach! Coś takiego!

– No to dlaczego przyjechałeś?

– Nic się nie stało, mamo, zupełnie nic; założyłem się dziś rano, podczas śniadania, to wszystko.

– Co to za zakład?

– Taki, że Fanchette, moja mała suka beagle¹⁵, sama zaatakuję dzika i zmusi go do wycofania się na legowisko.

– A co dalej?

– Dalej, wróciłem do Martinière po Fanchette i zamierzam dziś wieczorem wyjechać po kolacji.

– Jak to? Nie będziesz tu nocował?

– Nie będę, mamu.

– Przecież stąd do Rigoles jest pięć lig!

– Phi! Neptun pokona je w godzinę.

– A droga wiedzie przez las...! – odważyła się nieśmiało odezwać Flavie.

– Dobrze! Widzę, do czego zmierzasz – powiedział, śmiejąc się, młody człowiek. – Powiesz mi o złodziejach i kłusownikach.

– O złodziejach nic nie wiem, ale są kłusownicy...

– Często jedni i drudzy to ci sami – odparł ze śmiechem Victor. – Świadczą o tym nasi sąsiedzi Cardassolowie, którzy zeszłej jesieni ukradli mi psa. Ale nie martw się, moja mała Flavie, nikogo się nie boję, ani kłusowników, ani złodziei.

– Czy wróciłeś sam, Victorze?

– Nie, Antoine jest ze mną; przyprowadził moje psy. Aha, czy wkrótce zjemy obiad?

– W tej chwili, mój synu.

– Umieram z głodu – powtórzył Victor.

Baronowa wstała.

– Pójdę ponaglić kucharkę – powiedziała.

– A ja – dodał pan de Passe-Croix – pójdę na chwilę do mojego pokoju i wrócę; porozmawiaj ze swoją siostrą.

Flavie znowu się wzdrygnęła, ale nie odważyła się wstać i wyjść z salonu, jak to zrobili jej ojciec i matka.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Victor przysunął swój fotel do Flavie.

– Siostrzyczko – zapytał – czy wiesz, dlaczego wróciłem?

– Przecież dopiero co nam powiedziałaś – odparła. – Wróciłeś po Fanchette.

¹⁵ *Beagle* – rasa małych psów myśliwskich, gończych, powstała w Anglii, średnich rozmiarów (do 40 cm wysokości), krótkowłose, najczęściej trójbarwne, używany do tropienia, polowań na dziki.

– Nie, nie dlatego – powiedział poważnie Victor.

Jej głos nagle stracił radosny akcent, jaki miał wcześniej. Flavie zbladła i szepnęła:

– Dlaczego więc?

– Żeby zobaczyć się z tobą.

– Och! Dziwny pomysł! – wyjąkała Flavie, której zmieszanie nie miało granic.

– Siostrzyczko – powiedział ze smutkiem Victor – jestem, uwierz mi, twoim najlepszym przyjacielem na świecie, i myliłaś się, że nie chciałaś mi się zwierzyć.

– Ależ, bracie...

– Posłuchaj mnie więc – mówił dalej Victor. – Pojechałem dziś rano do Rigoles z zamiarem zatrzymania się tam przez tydzień, a jeśli wróciłem dziś wieczorem, to ze względu na ciebie i dla twego szczęścia.

Flavie ukryła głowę w dłoniach.

– Muszę z tobą porozmawiać dziś wieczorem – ciągnął młody człowiek. – Po kolacji weźmiesz mnie pod ramię i pójdziemy na spacer po parku. Chcę wiedzieć wszystko... Chcę! – zakończył Victor władczym tonem.

– Zgoda! – wyszeptała dziewczyna zduszonym głosem.

W tej chwili wróciła baronowa.

– Chodźcie, moje dzieci – powiedziała – podano kolację.

– Ach! To bardzo dobrze! – zawołał Victor, wróciwszy do swojego wesołego tonu.

Aby lepiej pojąć rozmowę, o którą Victor de Passe-Croix poprosił swoją siostrę, należy cofnąć się o kilka godzin i przenieść do Rigoles. Zamek, który nosił tę nazwę, znajdował się pięć lig od Martinière i należał do panów de Montalet.

Montaletowie byli szlachcicami z Poitou, którzy każdego roku przed dniem świętego Huberta¹⁶ zamieszkiwali w Sologne. Zimą spędzali w Paryżu i często spotykali się z rodziną Passe-Croix.

Pan de Montalet, ojciec, był byłym oficerem gwardii królewskiej.

Był mężczyzną w wieku sześćdziesięciu pięciu lub sześćdziesięciu sześciu lat, bardzo jarym, bardzo wesołym, znakomitym myśliwym

¹⁶ *Dzień świętego Huberta* – 3 listopada, święto myśliwych, leśników, także jeźdźców, sportowców, kuśnierzy i matematyków, których patronem jest święty Hubert (655-727), biskup Liège w Belgii, w ten dzień tradycyjnie odbywano uroczyste polowania.

i właścicielem znacznego majątku. Jego dwaj synowie, Amaury i Raoul, mieli odpowiednio dwadzieścia osiem i dwadzieścia trzy lata.

Raoul de Montalet i Victor de Passe-Croix byli kumplami w Liceum Bonaparte¹⁷ i byli bliscy sobie jak bliźniacy.

Pan de Montalet, ojciec, był od wielu lat wdowcem; W Rigoles jego jedyną kobietą była pani Gertrude, łącząca w sobie funkcje gospodyni i damy do towarzystwa.

Jednak do tych czterech postaci, które zazwyczaj zamieszkiwały w Rigoles, należy dodać piątą, który pozostawała z Montaletami, odkąd tylko przyjeżdżali.

Ów osobnik był mężczyzną w wieku około trzydziestu lat, który nazywał się Albert Morel.

Posiadacz tego pospolitego nazwiska zasługiwał jednak na lepsze.

Pan Morel był ideałem dżentelmena: bogaty, przystojny kawaler, zasłużony sportowiec, znamienity myśliwy, chłodny gracz, uduchowiony rozmówca. Dwukrotnie bardzo dzielnie się pojedyńkował i wypuścił w świat tancerkę, która wkrótce stała się znana, żeby nie powiedzieć sławna.

Pan Albert Morel dwa lata wcześniej kupił w Poitou duży majątek ziemski, przylegający do należącego do Montaleta. Wspólnie odbywane polowania doprowadziły do pewnej zażyłości między nowymi sąsiadami; spotkali się również w Paryżu i panowie de Montalet zostali przedstawieni panu Albertowi Morelowi u baronowej de Passe-Croix, która przyjmowała w każdy czwartek.

Jednakże Albert Morel, chociaż uchodził za eleganta, pomimo znacznego majątku, który umiał szlachetnie wydawać oraz wyróżniającego się jak rzadko dowcipu i postawy, był postacią raczej tajemniczą. Nie wiadano bliżej, skąd pochodził, nie znano żadnych jego starych przyjaciół.

Według jednych był Kreolem¹⁸ z Mauritiusu¹⁹; według drugich jego nazwisko było tylko pseudonimem; inni, bardziej odważni, posuwali

¹⁷ *Liceum Bonaparte* – nazwę tę nosiło kilka szkół średnich we Francji, w omawianym okresie najbardziej znane to liceum w Autun, do którego uczęszczał Napoleon Bonaparte, i Liceum Condorceta w Paryżu, zwane Bonaparte w latach 1805-1814 i 1848-1870.

¹⁸ *Kreol* – człowiek pochodzenia francuskiego, niekiedy też hiszpańskiego, urodzony w posiadłościach kolonialnych, głównie w Ameryce.

¹⁹ *Mauritius* – wyspa w archipelagu Maskarenów na Oceanie Indyjskim, 900 km na wschód od Madagaskaru, o powierzchni 2040 km², odkryta w roku 1505, należąca

się nawet do twierdzenia, że był żonaty, lecz żyjący z żoną w separacji; ale żadna z tych plotek niewątpliwie nie dotarła do Montaleta, ponieważ Albert Morel od dwóch miesięcy mieszkał w Rigoles na stopie ogromnej zażyłości.

Od kilku wszakże dni nie był już jedynym gościem Montaletów, ponieważ Raoul, młodszy syn, do swojego przyjaciela Victora de Passe-Croix napisał następujący list:

Halali!²⁰, mój drogi staruszkule! W tym roku będziemy mieli takiego świętego Huberta, o którym będzie się trochę mówiło i liczymy na Ciebie, mój zacy Victorze.

Jest nas już dziesięciu, ty będziesz jedenasty. Przyprowadź swoje psy. Chcemy mieć ich sześćdziesiąt i zapolować na potwornego dzika, o którym nasi strażnicy wiedzą od wczorajszego wieczora. Oczekujemy Ciebie na śniadaniu!

*Twój
Raoul*

Właśnie po otrzymaniu tego listu Victor wysłał swoje psy i swojego dojeżdżacza²¹, aby przenocowali w Rigoles.

Następnie w poniedziałek rano sam wyjechał.



do Hiszpanów, Francuzów (w latach 1715-1810), Anglików, od roku 1968 niepodległe państwo, ma około 1,25 miliona mieszkańców.

²⁰ *Halali* – zawołanie i fanfara oznajmiające miejsce, gdzie zwierzyna została osaczona przez psy podczas polowania; halali kończyło polowanie.

²¹ *Dojeżdżacz* – myśliwy konny ścigający z chartami lub ogarami zwierzynę, także służący zaganiający konno zwierzynę.

Rozdział II

Rada Octave'a de Cardassol



Victor dosiadał ślicznego konia limuzyjskiego²² o karej sierści, szybko-
go niby wiatr, który po piaskach lasów Sologne galopował z lekkością
jelenia. Neptune w ciągu godziny pokonywał, przez bory, szesnaście
lub siedemnaście kilometrów, które dzieliły Martinière od Rigoles.

Dlatego też Victor wyruszył o świcie, to znaczy około wpół do siód-
mej, i dotarł około trzy czwarte ligi od domostwa Montaletów, kiedy
w sąsiednich zaroślach usłyszał dwa strzały, starannie rozdzielone,
których dźwięczne huki wskazywały na duży kaliber.

– Dobrze! – powiedział do siebie młody człowiek, uspokajając Neptu-
ne'a, który się przestraszył. – Znam tę broń o dużym kalibrze. To strzel-
ba Octave'a de Cardassol.

Kiedy tylko skończył tę refleksję, Victor zauważył, jak poruszają się
zarośla i znalazł się twarzą w twarz ze swoim szkolnym wrogiem.

Pan Octave de Cardassol trzymał za uszy zająca, którego zabił
i właśnie zabierał się do włożenia go do skórzanej kieszeni swojej aksa-
mitnej marynarki o barwie butelkowej zieleni, kiedy zobaczył Victora
na koniu, który bardzo spokojnie stał na środku dróżki.

Cardassol, trochę zaskoczony, chciał odwrócić się plecami i ponow-
nie zanurzyć się w krzakach, ale Victor zawołał do niego:

– Hej! Co powiesz, Octave?

Pomimo nienawiści, która istniała między nimi, Octave de Cardas-
sol i Victor de Passe-Croix zachowali nabrany w szkole średniej nawyk
mówienia sobie na ty.

Na to pytanie Octave się zatrzymał.

– Patrzcie! – powiedział. – Dzień dobry...

– To tak kłusujesz na ziemiach Montaletów? – zadrwił Victor.

²² *Koń limuzyjski* – dawna francuska rasa koni z regionu Limousin, powstała w XII wieku, średnich rozmiarów, smukłej budowy, bardzo ceniony jako myśliwski, woj-
skowy i wyścigowy, uważana za najlepszą rasę końską Francji, obecnie wymarła.

Cardassol się skrzywił.

– Ten zając jest mój – powiedział.

– Też coś!

– Moje psy ścigały go od dwóch godzin.

– A gdzie one są, te twoje psy?

– W zaroślach... zgubiłem je przed chwilą – odparł Cardassol i zawołał: – Ramoneau! Ramoneau!

Tymczasem Victor podszedł do Octave'a i wyciągnąwszy rękę, zabrał mu zająca, mówiąc:

– Całkiem ładny, daję słowo!

– Hej! Ramoneau! Tutaj! Fanfara! – wołał Octave.

– Niepotrzebnie nabawisz się chrypki – śmiejąc się, powiedział Victor. – Twoje psy są daleko, jeśli w ogóle były z tobą... bo ten zając, mój drogi panie de Cardassol, nie jest tym, którego goniły.

– Ach! Tak sądzisz?

– Do kroćset! – powiedział młody człowiek rzucając na ziemię zabite zwierzę. – Zając, który biegał od dwóch godzin, byłby dużo szywniejszy. Ten twój zając jest świeży, jakby wstał z łóżka i zabił go, gdy się zerwał.

– No dobrze, rzeczywiście, a czego to dowodzi? – zapytał arogancko Cardassol.

– Dowodzi tego, że kłusujesz na ziemiach Montaletów.

– Mam pozwolenie.

– Ach! – odparł Victor i swojego wroga ze szkoły zmierzył lekceważącym spojrzeniem. – Daję słowo! Jestem zbyt uprzejmy, żeby ci zaprzeczyć. No dobrze, poprzestańmy na tym! – powiedział i ruszył swoim koniem.

Teraz z kolei powstrzymał go Octave de Cardassol:

– Hej, Victorze! – zawołał.

Victor się zatrzymał.

– Czego chcesz?

– Dać ci radę.

– Och, ale ja jej nie potrzebuję.

– Ba! Kto wie? – zadrwił pan de Cardassol z podejrzanym spojrzeniem.

– Chodzi ci o polowanie?

– Być może...
– No dobrze, porozmawiajmy. Jestem ciekaw, jak cenne są twoje rady.

– Jedziesz do Rigoles?

– Tak.

– Czy zamierzasz długo tam polować?

– Tydzień.

– Mylisz się...

– Dlaczego?

– Ponieważ w tym czasie dojdzie do kłusowania na ziemiach Martinière.

– Na przykład będziesz to ty! – powiedział butnie Victor.

– Och – odparł pan de Cardassol – ja spodziewam się uzyskać pozwolenie na polowanie tu.

– Od kogo?

– Jak to! Od ciebie.

Victor zaśmiał się wyniośle.

– Miło żartujesz, mój drogi panie Octave – stwierdził.

– Ba!

– A jeśli czekasz na to pozwolenie...

– W takim razie posłuchaj – mówił dalej Octave – a dam ci doskonałą wskazówkę...

– Dotyczącą czego?

– Dotyczącą spraw związanych z twoim honorem, mój drogi panie Victorze.

Z kolei zadrżał teraz Victor.

– Ho! ho! – rzucił.

– A jeśli uchronię ciebie i twoich bliskich przed złym krokiem, czy udzielimy ci pozwolenia na polowanie u ciebie?

– Ależ tak, mój drogi – odparł Victor – ponieważ nie widzę, jakie niebezpieczeństwo może zagrażać mojemu honorowi... proszę cię...

– Tere fere! – powiedział de Cardassol. – Kiedy przychodzą niebezpieczeństwa, żałujemy, że nie postąpiliśmy zgodnie z dobrą radą.

Te ostatnie słowa rozżłościły Victora.

– Zobaczmy! – powiedział. – Wy tłumaczysz się, tak czy nie?

– To zależy.



– He?

– Pozwalam ci samemu ocenić i jednocześnie postąpić jak chcesz, polegam na twojej dobrej wierze. Jeśli radę, którą ci udzielię, uznasz za dobrą, czy pozwolisz mi polować u siebie?

– Tak.

– Dajesz słowo honoru?

– Przysięgam ci, że tak.

– Mnie i moim braciom...?

– Do diabła! To dużo, pięciu kłusowników waszego pokroju – stwierdził pogardliwie Victor.

– Moja rada jest tego warta... zobaczysz...

– No dobrze, mów...

– Dobrze zrobisz, nie zostając w Rigoles przez tydzień.

– Ale dlaczego?

– Ponieważ w Martinière nie macie stróżującego psa.

– I co z tego dla mnie wynika?

– Twój ojciec i jego ludzie mają twardy sen... Victor zadrżał.

– Istnieją nocni włóczędzy, którzy przeskakują przez ogrodzenie parku.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie chodzi o zabieranie waszych królików – zakończył de Cardassol ze złośliwym uśmiechem. – Żegnaj, zachęcam cię do czuwania...

– Zaczekaj no! – zawołał do niego Victor.

Ale Cardassol zagłębił się w zarośla, powtarzając:

– Zobaczysz, że moja rada nie jest droga, panie Victorze.

Następnie zniknął w krzakach.

Victor de Passe-Croix przez chwilę tkwił nieruchomo na środku ścieżki, jakby coś w nim się złamało.

Z ręką na czole powtórzył sobie kilka razy z rzędu:

– Co on chciał mi powiedzieć?

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

Ta myśl musiała być bardzo okropna, bardzo dojmująca, ponieważ nagle po skroniach spłynął mu lodowaty pot, twarz zbladła, a usta zadgotały w gorączkowym ruchu.

Potem ruszył koniem, pobudził go do galopu i pojechał dalej drogą do Rigoles.

Podczas jazdy Victor można by rzec nie odważał się myśleć o czymkolwiek, tak przerażająca była myśl, która przysłała mu do głowy.

Pół godziny później dotarł do domostwa Montaletów.

Zamek Rigoles został zbudowany za panowania Ludwika XIII z czerwonej cegły, podobnie jak większość domów w Sologne.

Dwie duże aleje, jedna na północy, a druga na południu, przecinające las, pozwalały dostrzec go z dużej odległości.

Kiedy przybył Victor de Passe-Croix, gospodarze zamku mieli właśnie zasiąść do stołu.

Panowie ojciec i syn de Montalet mieli wokół siebie dziesięć osób w strojach myśliwskich, wszyscy w butach jeździeckich z przypiętymi ostrogami.

Radosne wiwaty powitały wejście kadeta Saint-Cyr...

– Ach! Oto i Victor! – powiedział młody Montalet. – Tym razem jesteśmy w komplecie.

– Dzień dobry, Victorze.

– Dzień dobry, panowie – odpowiedział młody człowiek, kłaniając się na prawo i na lewo.

Albert Morel, który siedział po drugiej stronie stołu, wstał i podszedł, aby uścisnąć dłoń Victora.

Ten jednak nigdy nie zdobył większej sympatii gościa Montaletów. Czuł wobec niego obojętność, która zmieniała się w niechęć, i dość chłodno przyjął jego przejawy przyjaźni.

– Zjemy śniadanie galopem, panowie – powiedział pan domu.

– Dlaczego galopem? – zapytał Victor.

– Ponieważ chodzi o las znajdujący się ligę stąd; ponieważ namierzone zwierzę to nieplodna bestia, którą trzeba będzie ścigać przez co najmniej cztery lub pięć godzin.

– Ho! ho!

– I ponieważ – zakończył Amaury de Montalet – że dziś, w dniu świętego Huberta, chcemy wcześniej zjeść obiad.

– Zgoda, zjedzmy śniadanie – powiedział Victor.

Usiadł przy stole między swoim przyjacielem Raoulem i mężczyzną liczącym mniej więcej trzydzieści sześć lat, którego nie znał.

Osobnik ten, który miał szczerą twarz, duże i niebieskie oczy, dumnie haczykowały nos i arystokratyczne usta, z miejsca spodobał się Victorowi. Nasz bohater uległ temu przemożnemu prawu sympatii, które wydaje się odkrywać świat okultystyczny i jego niewytłumaczalne wpływy.

– Kim jest ten pan? – bardzo cicho zapytał Raoula.

– To przyjaciel mojego brata, oficer marynarki, pan Roger de Fromentin²³.

– Aha, spodziewaliście się go w zeszłym tygodniu, jak sądzę?

– Zgadza się.

Kiedy Victor i Raoul wymieniali te kilka słów, pan Roger de Fromentin, oficer marynarki, z dziwnym uporem przyglądał się Albertowi Morelowi.



²³ Ponson de Terrail na początku w kilku akapitach używa nazwiska Bellecombe, ale w dalszej części, w przeważającej ilości, stosuje nazwisko Fromentin; w całości tekstu ujednolicono do Fromentin.

Rozdział III

Opowieść marynarza



Victor i Raoul rozmawiali ze sobą przez chwilę; potem zdarzyło się, że kiedy ten drugi zamieniał kilka słów z sąsiadem po prawej stronie, także oficer marynarki i Victor nawiązali rozmowę.

– Przepraszam pana – powiedział cicho oficer – ale przyjechałem dopiero wczoraj i znam tu tylko panów domu.

Victor się uklonił.

– Czy może mi pan powiedzieć, jak nazywa się ten jegomość, który siedzi naprzeciw nas?

– To paryżanin – odparł Victor – pan Albert Morel.

– Ach!

Ten okrzyk został wydany z dziwną intonacją, która zaskoczyła Victora.

– Czy to nazwisko pana zdumiało? – zapytał oficera marynarki.

– Tak i nie.

– Jak to?

– *Tak*, bo ten jegomość wygląda kropka w kropkę jak ktoś, kogo znałem w koloniach.

– Czyżby!

– *Nie*, jeśli stałem się tylko igraszką pomyłki, bo wtedy ten pan ma pełne prawo nazywać się, jak tylko zechce.

– Czyli – powiedział Victor – po raz pierwszy zobaczył go pan dziś rano?

– Tak, proszę pana.

– Przecież przyjechał pan wczoraj wieczorem, jak mi powiedziano.

– Wtedy spał. Zobaczyłem go, jak wszedł tutaj przed chwilą i wydaje się być w doskonałej komitywie z panem domu.

– Ich ziemie sąsiadują z sobą.

– Tutaj?

– Nie, w Poitou.

– To dziwne – powtórzył oficer marynarki – niesamowicie przypomina człowieka, którego znałem. Tymczasem skierował na mnie całkowicie obojętne spojrzenie, a moje nazwisko, które zostało wypowiedziane przy nim, nie wywarło na jego twarzy żadnego wrażenia. Poza tym nazywa się Albert Morel.

– Panie – powiedział Victor – jest pan marynarzem, więc zapewne dużo pan podróżował?

– Dwa razy okrążyłem świat.

– Dlatego być może pan ocenić mniej więcej, czy prawdziwe jest przekonanie, że każdy człowiek ma sobowtóra.

– Wiele razy słyszałem, jak tak mówiono, panie, ale nigdy nie było mi dane przekonać się o tym na własne oczy.

– No to rozumiem pańskie zdziwienie, kiedy odniósł pan wrażenie, że rozpoznaje w panu Morelu...

– Człowieka, którego widziałem toczącego pojedynek.

– W jakim kraju?

– W Brazylii, w Rio.

– Kiedy?

– Och, minęło już dziesięć lat!

Właśnie wtedy wstawano od stołu, a starszy z Montaletów, Amaury, odczepiając swój róg myśliwski zawieszony na porożu jelenia, zagrał energiczne sygnał do wsiadania na koń.

Victor nie odważył się nalegać i zapytać oficera o szczegóły tej przygody.

– Na koń, panowie! Na koń! – Takie były słowa rozkazu, który wprowadził myśliwych na dziedziniec.

Na ostatnim stopniu podjazdu służący czyścił właśnie parę butów jeździeckich.

Ktokolwiek je nosił, niewątpliwie odbył długą podróż, bowiem były bardzo powalane, a spody podeszew były pokryte żółtawym błotem o bardzo specyficznym odcieniu.

Kiedy Victor schodził po schodach, od niechcenia spojrzał na te buty i to błoto, i zadrzał.

„Oto błoto – pomyślał – którego nigdy nie widziałem nigdzie indziej, jak w parku Martinière”.

– No dalej, Victorze, na koń! – powtórzył pan de Montalet ojciec.

Victor de Passe-Croix przestawał już wpatrywać się w zabłocone buty i wstawił stopę w strzemień.

Wszyscy od razu odjechali.

Jak zapowiedzieli panowie domu, miejsce zbiórki na polowanie było trochę oddalone i przed wejściem do lasu przez ponad godzinę trzeba było pokonywać drogę.

Albo wmieszał się w to przypadek, albo fala sympatii przyciągała jednego ku drugiemu, w każdym razie oficer marynarki i młody kadet z Saint-Cyr jechali konno bok w bok i znaleźli się za małym oddziałem.

– Dobrze! – powiedział marynarz. – Skoro znowu znaleźliśmy się razem, to porozmawiamy, prawda?

– Och! Tym chętniej – stwierdził Victor – że nie mogę się doczekać poznania historii Alberta Morela.

– Przecież, proszę pana – rzucił z uśmiechem marynarz – jeśli, jak pan mówi, każdy człowiek ma swojego sobowtóra, to jest niemal pewne, że nazwisko pana, o którym mówimy, nie jest nazwiskiem mężczyzny, którego poznałem.

– To bez znaczenia! – powiedział Victor.

Marynarz rzucił na kadeta z Saint-Cyr melancholijne spojrzenie.

– Jest pan młody – powiedział.

– Mam dziewiętnaście lat.

– A życie poznawał pan do tej pory tylko od poważnej strony studiów, czyli najbardziej frywolnej z punktu widzenia ludzkich doświadczeń i namiętności.

– Och! Kto wie? – rzucił Victor, trochę urażony w swej próżności. Marynarz uśmiechnął się.

– Wie pan – powiedział – że tego właśnie Bóg nie pochwała! Gdyby ten Albert Morel był człowiekiem, o którym mówię, czy odczuje pan do niego głęboką odrazę, kiedy opowiem jego historię?

– Zgoda – powiedział Victor, którego ciekawość została mocno pobudzona.

Marynarz i przyszyły podporucznik pozwolili, aby mała gromada myśliwych coraz bardziej się od nich oddalała.

– Ile czasu zajmie nam pokonanie odległości dzielącej nas od miejsca zbiórki? – zapytał marynarz.

– Co najmniej godzinę, panie.

– Historia mojego człowieka jest długa, a na jej opowiedzenie potrzeba więcej, niż godzinę.

– No cóż, proszę mi opowiedzieć choć część.

– A resztę?

– Zrobi pan tak, jak wrobi się z powieściami drukowanymi w gazetach; odłoży zakończenie do jutra.

– Bardzo tego chcę.

Victor na wpół obrócił się w siodle, a marynarz, naśladując go, zaczął swoją opowieść.

Opowieść ta jest zbyt ważna i będzie musiała zająć tak wielkie miejsce w dalszej części tej historii, abyśmy nie przytoczyli jej od początku do końca i prawie dosłownie.

– Panie – powiedział marynarz – czy pozwoli mi pan nadać tytuł mojej opowieści i w razie potrzeby podzielić ją na rozdziały?

– Jak pan woli.

– Więc jeśli pan zechce, nazwę ją:

POJEDYNEK TRANSATLANTYCKI

A oto opowieść marynarza:

Pewnego wieczora w kwietniu 184... roku, młody człowiek, którego nienaganny strój i pełna wdzięku postawa zadawała kłopot temu rodzajowi gnuśnej elegancji, która często zmienia miano, pozostając tym samym, a której nadano nazwy *mascadin*²⁴, *dandys*²⁵, *lew*²⁶, a ostatnio *gandin*²⁷; młody człowiek, jak powiedzieliśmy, po wejściu powolnym krokiem na ulicę Taitbout, usiadł przy jednym z okrągłych stolików, które jako pierwsza ustawiła Kawiarnia Paryska²⁸ przed swymi drzwiami na świeżym powietrzu.

²⁴ *Muscadin* (pol. elegant) – w czasie rewolucji francuskiej członkowie bojówek antyjakobińskich, wyróżniali się strojami, przesadnymi i groteskowymi, przejętymi później przez eleganczką młodzież.

²⁵ *Dandys* – w od końca XVIII wieku w Anglii określenie młodych bogaczy, eleganczyków, wyrafinowanych, także aroganckich, przejęte we Francji w okresie Restauracji, wraz z samym zjawiskiem.

²⁶ *Lew* (fr. lion) – we Francji określenie osoby eleganckiej, cenionej w dobrym towarzystwie, „lew salonowy”.

²⁷ *Gandin* – francuskie określenia elegancika, modnisia, gogusia, popularne zwłaszcza w okresie Restauracji.

²⁸ *Kawiarnia Paryska* – w XIX wieku jedna z najbardziej eleganckich i modnych kawiarni Paryża, przy bulwarze des Italiens 10, potem przy alei d’Opéra.

Chociaż był to dopiero kwiecień, tego roku upały przyszły przedwcześnie, a asfalt na chodnikach parzył.

Przed Kawiarnią Paryską był tłum i nowoprzybyły, kiedy usiadł, zauważył, że właśnie zajął jedyny pozostały wolny stolik.

Ulica była zatłoczona powozami jadącymi do Lasku Bułońskiego lub z niego powracającymi. Chodniki przepełniał gęsty tłum przechodniów.

Młody człowiek wyciągnął z kieszeni pudełko cygar i już miał poprosić kelnera o ogień, kiedy dwóch młodych mężczyzn w miejskich strojach, ale których krótko ścięte włosy, wąsy i surduty zapięte aż do podbródka zdradzały wojskowych, zbliżyło się, rozejrzało się na prawo i na lewo, a nie znajdując żadnego wolnego stolika, usiedli bezceremonialnie przy zajmowanym przez osobnika, którego właśnie opisaliśmy.

Byłoby w dobrym guście ze strony tych panów, gdyby przywitali się z młodzieńcem i poprosili go o pozwolenie na usiadnięcie obok niego.

Tego jednak nie uczynili.

Młody człowiek, którego nazwijmy Raymond de Luz, nawet nie drgnął i zachował spokój. Kiedy jednak podszedł kelner z tacą i chciał postawić na stoliku zamówione przez owych panów kieliszki z malagą²⁹, pan Raymond de Luz wykonał wyniosły gest i powiedział mu oschle:

– Zabierz mi to stąd!

Dwaj oficerowie wzdrygnęli się, a jeden z nich, patrząc młodzieńcowi prosto w oczy, powiedział:

– Mój panku, równie pewne jak to, że nazywam się Charles de Valserres, jutro rano obetnę ci uszy, jeśli nie wstaniesz i natychmiast nie odejdiesz.

– Panie – odparł Raymond de Luz – nie jestem oficerem, ale nikt nigdy nie pomyślał o obcięciu mi uszu; jeśli jednak ma pan taką fantazję, jestem do pańskich usług.

Potem koniuszkami palców podał mu swój bilet wizytowy.

Ten, który nadał sobie nazwisko Charles de Valserres, wziął ten bilet i lekceważąco rzucił na niego wzrokiem.

Następnie podał w zamian swój, dodając:

– Jutro rano odwiedzą pana moi sekundanci.

– To niepotrzebne, mój panie.

²⁹ *Malaga* – słodkie wino deserowe z okolic miasta Malaga w Hiszpanii, gęste i aromatyczne, bardzo cenione w XIX wieku.

- Czyżby?
- Niech przyjdzie pan z nimi jutro o siódmej do Lasku Bulońskiego, za pawilonem Madrid; będę tam z moimi.
- Zgoda...! Pańska broń?
- Ech! – powiedział Raymond de Luz z kpiącym uśmiechem. – Przecież skoro zamierza pan odciąć mi uszy, na pewno będzie to szabla.
- Panie, szabla jest bronią oficera, a pan nie jest wojskowym. Niech będą pistolety, jeśli pan zechce?

Pan Raymond de Luz uklonił się.

Następnie, ponieważ w tej chwili dwie osoby siedzące przy sąsiednim stoliku właśnie wstawały, pan Charles de Valserres i jego przyjaciel zajęli ich miejsca, pozostawiając pana Raymonda de Luz jedynym właścicielem swojego.

Ten zaś z doskonałym spokojem wypił kawę, dopalił *czystą hawanę*³⁰, wstał z tą samą niedbałością i tą samą flegmą, po czym oddalił się bardzo swobodnie, przechodząc przez bulwar na wysokości ulicy de Choiseul, w którą skręcił.

Na końcu tej ulicy zatrzymał się, żeby zadzwonić do drzwi, nad którymi był napisany numer 3.

Niewątpliwie widywano go często przychodzącego do tego domu, gdyż dozorca, po uchyleniu okna swojej stróżówki, przywitał go i powiedział:

- Pan baron dopiero co wrócił.
- Ach, tym lepiej! – lekko rzekł Raymond i żwawo po pięknych schodach wszedł na antresolę.

Murzyn przyszedł, aby otworzyć mu drzwi.

- Dzień dobry, Neptunio – powiedział. – Czy jest tam twój pan?
- Och! Do licha! Tak, jest – odparł ten młodym i dźwięcznym głosem.

Raymond zobaczył, jak podnosi się portiera palarni i pojawia się młody człowiek, nadal mający kapelusz na głowie, który wyciągnął rękę do gościa.

- Dzień dobry, drogi przyjacielu – powiedział – już wchodzi.

Mężczyzna, do mieszkania którego wszedł Raymond, był wysokim, przystojnym chłopcem w wieku około dwudziestu pięciu lat, z brodą czarną jak węgiel i ciemnoniebieskimi oczami.

³⁰ *Czysta hawana* (z hiszp. puro habano) – nazwa cygar produkowanych na Kubie od roku 1799, uważanych za najwyższej jakości z wszystkich, bardzo cenionych i kosztownych.



– Mój panku, równie pewne jak to, że nazywam się
Charles de Valserres, jutro rano obetnę ci uszy,
jeśli nie wstaniesz i natychmiast nie odejdiesz.

Był zgrabnej i gibkiej budowy, stopy miał zadziwiająco małe i wysklepione, ręce kobiece i w całej swej osobie coś nieuchwytnie nonszalanckiego, co ujawniało, że urodził się w koloniach.

Wziął gościa za rękę i wprowadził go do palarni, ładnego pokoju obitego skórą, wyposażonego w otomany i ozdobionego półkami, na których znajdowały się osobliwe przedmioty i chińskie bibeloty.

– Dzień dobry, mój drogi Raymondzie – powtórzył, popychając go w stronę fotela – nie spodziewałem się ciebie dziś wieczorem i oczekiwałem spotkania z tobą jutro, bowiem postanowiłem w swej mądrości nie pójść wcale do klubu i wcześniej położyć się spać.

– Ach!

– Wiesz, że graliśmy przez całą ostatnią noc.

– Niestety! – odparł z uśmiechem Raymond – a statek, który za pięć dni przywiezie moje dochody, musi tylko dobrze płynąć pod wiatr. Gdyby zatonął, zostałbym z miejsca zrujnowany.

– Och! Och! – rzucił gospodarz Raymonda. – Wydaje mi się, że podobnie jak przeciw tobie, los był całkowicie przeciwko mnie.

– Nie zaprzeczę, ale nie przyszedłem tu po to, aby sumować nasze straty.

– Aha! A dlaczego?

– Przede wszystkim, aby zobowiązać cię do trzymania się swojego postanowienia i wczesnego położenia się spać.

– Dobrze! A następnie?

– Ponieważ jutro wstaniesz wcześniej rano.

– Ho! ho! – rzekł młody człowiek. – Wygląda mi to na *przechadzkę* do Lasku...

– Dokładnie tak.

Gospodarz Raymonda zmarszczył brwi.

Kiedy marynarz doszedł do tego miejsca w swojej historii, Victor de Passe-Croix powiedział mu:

– Założę się, że mężczyzna z ulicy de Choiseul i ten, któremu służył pan jako sekundant, to jeden i ten sam człowiek?

– Być może. Ale proszę poczekać...

Następnie marynarz mówił dalej.



Rozdział IV

Przed pojedynkiem



Młodym człowiekiem, który mieszkał przy ulicy de Choiseul i do którego właśnie przyszedł pan Raymond de Luz, był Kreol z wyspy Bourbon³¹, nazywający się Félix de Nancery.

Raymond de Luz był również Kreolem i ta dwójka młodych ludzi znała się od dzieciństwa.

Przyjechali razem do Paryża mając dziewiętnaście lat; mieszkali w nim od sześciu, żyjąc w doskonałej zażyłości.

Pan Raymond de Luz był synem najbogatszego plantatora na wyspie. Pan Félix de Nancery też był bogaty, ale znacznie mniej niż jego o dwa lata starszy przyjaciel.

Félix de Nancery studiował prawo i zamierzał w swoim kraju zostać adwokatem. Raymond przyjechał do Francji jedynie w celu dokończenia tam edukacji.

Obaj zresztą przedłużyli już o dwa lata swój pobyt w ojczystym kraju. Paryż ma tyle pokus dla eleganckiej i zamożnej młodzieży!

Raymond miał młodszą siostrę, owoc drugiego związku jego ojca, i tę siostrę przeznaczył dla swojego przyjaciela Féliksa.

Panna Blanche de Luz musiała mieć już wtedy dziewiętnaście lat, a Raymond już od dawna, w swoich listach, przygotował to małżeństwo, które miało zostać uroczyście zawarte, za zgodą obu rodzin, zaraz po przybyciu młodych Kreolów.

Pan de Nancery znał doskonale sytuację majątkową rodziny de Luz.

Pan Laurent de Luz, ojciec Raymonda, był szlachcicem pochodzenia bretońskiego, który przybył na wyspę Bourbon trzydzieści lat wcześniej, z epoletami kapitana marynarki wojennej i szpadą

³¹ Bourbon – dawna (do roku 1793) nazwa wyspy Reunion, w archipelagu Maskarenów w zachodniej części Oceanu Indyjskiego, o powierzchni 2512 km², pochodzenia wulkanicznego, odkryta przez Arabów, potem przez Portugalczyków w roku 1507, w 1638 zajęta przez Francuzów, z wieloma plantacjami trzciny cukrowej; od roku 1946 departament zamorski Francji, ma około 850 tys. mieszkańców.

jako jedynym bogactwem, ale zdołał zawrócić w głowie pannie Ridan, najbogatszej dziedziczki w kolonii. Owdowiały po kilku latach małżeństwa ten bretoński szlachcic po raz drugi ożenił się na Bourbon z młodą osobą, prawie nie mającą majątku, która uczyniła go ojcem dziewczyny, którą Raymond przeznaczył dla swojego przyjaciela Féliksa de Nancery. Otóż Raymond zobowiązał się też dać swojej siostrze posag.

Szczegóły te są niezbędne, aby możliwe było zrozumienie, co wydarzyło się następnego dnia.

– Jak to! – powiedział Félix patrząc na swojego przyjaciela, kiedy ten zapalał cygaro. – Czy wdałeś się w kłótnię?

– Mój Boże, tak.

– Z kim?

– Z oficerem.

Wtedy Raymond opowiedział opisane przez nas zdarzenie.

– To absurd! – powiedział Felix. – To tylko sprzeczka w kawiarni.

– Masz rację, ale co można zrobić?

– Trzeba jakoś załatwić sprawę...

– Chyba oszalałeś! – powiedział Raymond. – Gdzie widziałeś, żeby załatwiano takie sprawy?

Felix wzruszył ramionami.

– Czy otrzymałeś wybór broni?

– Zostawili go mnie.

– A ty wybrałeś?

– Pistolet.

Pan de Nancery odetchnął.

– Ach! – powiedział – Tym lepiej, w strzelaniu z pistoletu nikt ci nie dorównuje.

– Szczycę się tym – stwierdził Raymond z dumnym uśmiechem.

– Jeśli strzelisz pierwszy, twój przeciwnik padnie jak mucha. Gdzie walczysz?

– W Lasku, za pawilonem Madrid, jutro o siódmej rano.

– Masz drugiego sekundanta?

– Pomyślałem o małym baronie Renaud, znasz go? To ten, którego w klubie nazywamy *Singleton*.

– Ach, do licha! – powiedział ze śmiechem pan de Nancery. – Wyświadczysz mu ogromną przysługę.

– Tak sądzisz?
– Pali się z pragnienia bycia komuś sekundantem. Ponieważ jest bardzo niski, wyobraża sobie, że to uczyni go większym.
Raymond uśmiechnął się.
– No dobrze! Czy w takim razie zechcesz spotkać się z nim?
– Nie, napiszę mu słówko. Bądź spokojny, będzie punktualny.
Pan de Nancery wziął pióro i napisał:

Panie baronie!

Nasz wspólny przyjaciel, Raymond de Luz, będzie miał jutro, punktualnie o siódmej rano pojedynek i liczy na pana i na mnie.

Spotkanie odbędzie się u niego, ulica Taitbout 29, o wpół do szóstej.

*Szczerze oddany
Félix de Nancery*

Młody Kreol zapieczętował ten list, napisał na kopercie: *Do pana barona Renaud, ulica Caumartin*³² 14, i przekazał go Neptunio z rozkazem, aby został natychmiast zanieiony.

Neptunio wyszedł, a dwaj młodzi ludzie rozmawiali jeszcze przez godzinę, po czym Raymond uściskał dłoń Feliksa i powiedział:

– Pójdę wcześniej położyć się spać. Bądź jutro punktualny.
– Możesz na mnie liczyć; do jutra, przyjacielu.

Pan de Nancery, odprowadziwszy Raymonda na sam dół schodów, wrócił do siebie, rozebrał się, położył do łóżka i zaraz zasnął. Ale nie mał natychmiast chwilę później z powodu koszmaru zerwał się na równe nogi.

W śnie przeżywał wydarzenia czekające go za kilka godzin: był w nim sekundantem mającego nastąpić nazajutrz pojedyнку.

Raymond padł ugodzony kulą w czoło.

Młody człowiek wytarł pokryte potem czoło i usiadł na łóżku.

– To dziwne – powiedział do siebie – a tym jeszcze dziwniejsze, że w moim śnie to Raymond strzelił pierwszy. Otóż Raymond strzela z pistoletu z niedoścignioną celnością. Dobra! Słyszałem, jak

³² *Ulica de Caumartin* – ulica w prawobrzeżnej części Paryża (9. okręg), biegnie na południe od bulwaru Haussmanna, powstała w roku 1849 z trzech innych ulic, w tym Caumartin,

mówią, że w śnie zawsze dzieje się odwrotnie, niż ma się wydarzyć. Tak więc to Raymond zabije pana de Valserres. Chodźmy spać!

Pan de Nancery próbował ponownie zasnąć, ale nie mógł.

Ciągle miał przed oczami tę dziwną scenę ze swojego snu i nagle przyszła mu do głowy równie dziwna myśl:

– Gdyby Raymond zginął – powiedział do siebie – majątek przeszedłby na jego siostrę i stałaby się ona najbogatszą dziedziczką w kolonii, a jego siostra jest kobietą, którą mam poślubić...

Ta myśl przyprawiła pana de Nancery o gorączkę i zawroty głowy. Na początku energicznie ją odpychał, ale powracała do niego z cierpliwą wytrwałością, i końcu przyzwyczał się do niej tak mocno, że godzinę później chłodno zastanawiał się, jak zupełnie nową sytuację przyniosłaby mu śmierć Raymonda, jeśli nieszczęśliwy młody człowiek zginąłby następnego dnia.

Blanche de Luz, która miała mieć skromny posag, stałaby się najwspanialszą dziedziczką, a jak będzie mogła odmówić ręki jemu, Félixowi de Nancery, który wziął w ramiona jej zbroczonego krwią i umierającego brata?

– Och! – szepnął dwa lub trzy razy. – Są myśli, które czynią człowieka zbrodniarzem.

Na próżno próbował zasnąć. Dzień zastał go na obracaniu się i przewracaniu się w łóżku, ogarniętego nerwową gorączką.

Zegar w jego sypialni wybił piątą rano. Félix de Nancery zadzwonił wtedy na Neptunia i kazał pomóc sobie w ubieraniu. Potem poszedł do Raymonda, który mieszkał, jak powiedzieliśmy, przy ulicy Taitbout, pod numerem 29.

Kiedy tam przybył, Raymond nadal mocno spał.

Félix³³ de Nancery był tam zaledwie od kilku minut, kiedy z kolei przybył niski baron Renaud.

Zastał Raymonda ubierającego się, a pana de Nancery palącego cygaro.

Jak ten drugi bardzo dobrze przewidział, młody baron Renaud z rzadką gorliwością przyjął złożoną mu propozycję wzięcia udziału w pojedynku z korzyścią dla siebie.

³³ Ponson de Terrail czasami używa imienia Félix, czasami stosuje także imię Charles; w całości tekstu ujednolicono do Félix.

Przybiegł pełen zapału i wylewności, ubrany w niebieski surdut zapięty pod brodą, z wywoskowanymi wąsami, dumnie podniesionym nosem i kapeluszem przekręconym na ucho.

Poprzedniego dnia pan de Nancery śmiałby się serdecznie, ale od wczoraj pan de Nancery przestał się śmiać: był blady, posępny, wzrok miał spuszczone.

– Do kaduka, mój drogi! – rzekł do Raymond, śmiejąc się. – Jakże smutnym świadkiem się stałeś!

Félix de Nancery zadrżał.

– Dlaczego? – zapytał.

– Jesteś ponury jak nadzorca uroczystości pogrzebowych!

– Co za żart!

– I jesteś blady jak widmo.

Pan de Nancery spojrział na siebie w lustrze i stwierdził, że jest siny.

– Czy wiesz – mówił dalej Raymond – że nie ma nic pociągającego w udaniu się na pojedynek w towarzystwie człowieka, który cię z góry zakopuje w grobie?

– Chyba oszalałeś! – wyjąkał pan de Nancery. – Żle odczytujesz moje uczucia do ciebie.

Tu wtrącił się niski baron:

– Chodźmy! – powiedział. – Wszystko pójdzie dobrze... zobaczą panowie...

– Psiakrew! – zaklął Raymond.

– A ten oficer dostanie za swoje – dokończył baron.

Raymond sprawdził godzinę na zegarze:

– Popatrzcie, panowie! – powiedział. – Czas ucieka, chodźmy...!

Pan de Nancery nadal siedział przed garderobą i się nie ruszał.

– A właśnie, Féliksie – powiedział Raymond – mam ci coś do powiedzenia. Pozwoli pan, drogi baronie?

– Jakże inaczej!

Raymond wziął przyjaciela pod ramię i poprowadził go do następnego pokoju, będącego jego gabinetem do pracy. Pośrodku tego pokoju stał stół zarzucony papierami, a wśród nich była duża koperta z szarego papieru, która wyglądała na zawierającą spory plik kartek.

– Mój drogi przyjacielu – ścisłym głosem powiedział Raymond – należy wszystko przewidzieć.

Pan de Nancery jeszcze raz zadrżał.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał.

– Mój Boże! Twoja zmieszana mina potwierdza moje słowa.

– Jednak nic nie rozumiem.

– Mogę zostać zabity.

– Jesteś szalony!

– Mam mocną nadzieję, że tak nie będzie, jednakże pojedynkujący się człowiek musi dopuścić takie przypuszczenie.

– No i co?

Raymond wziął ze stołu kopertę z szarego papieru.

– To mój testament – powiedział.

– Nie żartuj tak!

– Czynię cię wykonawcą mojego testamentu – dodał Raymond – zważywszy, że cały mój majątek, obecny i przyszły, przekazuję panie Blanche de Luz, mojej siostrze.

Félix de Nancery wyciągnął drżącą rękę w stronę testamentu, którą podał mu Raymond.

Następnie rozpiął swój surdut i schował kopertę do kieszeni, dodając:

– Spodziewam się, że za godzinę dostaniesz go z powrotem.

– Ja też się tego spodziewam – z uśmiechem powiedział Raymond de Luz. – Ach, zapomniałbym...

– Jest coś jeszcze?

– Czy wiesz, że bardziej niż kiedykolwiek nalegam, aby mój ojciec i siostra poparli nasze zamiary?

– Raymondzie...!

– Jeśli mnie już tu nie będzie – wyszeptał młody człowiek – kto będzie ją chronił?

– Ależ będziesz tu – wyjąkał pan de Nancery, którego głos drżał – i będziemy szczęśliwi, zobaczysz.

– Zobaczymy, co jest nam pisane! – powiedział Raymond! – Chodź, przyjacielu.

Wrócili do palarni, gdzie pan baron Renaud palił cygaro.

– Panowie – powiedział – mam na dole swój powóz, a w nim szable i pistolety.

– Ja też mam swoje – odparł Raymond, wyjmując z szuflady ładne pudełko z niebieskiego marokinu³⁴, zwieńczone tarczą herbową i koroną.

Otworzył to pudełko i spojrzał na pistolety, które były bardzo piękne.

– Nie życzę sobie – dodał – żeby mój przeciwnik strzelał drugi, zwłaszcza jeżeli los dał mi prawo wyboru broni. Dalej, panowie, w drogę!

Trzej młodzi ludzie zeszli na ulicę, gdzie rzeczywiście czekał powóz małego barona.

Félix de Nancery wziął wtedy barona Renauda na bok.

– Mój młody przyjacielu – powiedział – jestem pierwszym sekundantem, Czy tak?

– Bez wątpienia. Dlaczego to pytanie?

– Ponieważ to daje mi prawo kierowania wszystkim na miejscu pojedynku i myślę, że mam trochę większe od pana doświadczenie w tego typu sprawach.

– Och! Ma pan rację – odparł baron z szacunkiem. – Z przyjemnością będę się od pana uczył.

Wsiadli do powozu i dwadzieścia minut później dotarli do Lasku Bulońskiego, do wskazanego miejsca.

Młody oficer, pan Charles de Valserres, był już na miejscu ze swoimi dwoma sekundantami, z których jeden był tym, który poprzedniego dnia towarzyszył mu w Kawiarni Paryskiej.

– Panie – powiedział Victor, przerywając opowieść oficera marynarki – obawiam się, że mogę przewidzieć wynik tego spotkania.

– Och, zobaczy pan! – odparł marynarz. – To fakt niespotykany w annałach zbrodni.

Następnie mówił dalej, popędzając szpicrutą swojego konia, ponieważ zostali daleko w tyle.



³⁴ *Marokin* (skóra marokańska) – miękka, specjalnie wyprawiona i tłoczona skóra kozła lub barania, odmiana safianu.

Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!

